MARIA ULATOWSKA
JACEK SKOWROŃSKI
Wszędzie można znaleźć skarb, wystarczy tylko dobrze poszukać. I w końcu okazuje się, że największe skarby to zawsze: miłość i dobro dziecka.
Zaginiony rękopis
FILIA

MARIA ULATOWSKA
JACEK SKOWROŃSKI

Zaginiony rękopis

FILIA

Ludzie byliby o wiele lepsi,
gdyby choć raz
mogli przyjechać do Natęczowa

Bolesław Prus

Kobietom
Babciom, matkom, córkom,
wnuczkom, siostrom.

Lekarkom, prawniczkom,
sprzątaczkom, sprzedawczyniom,
bibliotekarkom, blogerkom
i influencerkom.

Paniom pracującym w każdym
zawodzie, jak i niepracującym.
Wszystkim.
Naszym czytelniczkom.

PROLOG

KONSERWATOR

Czasy PRL-u wspominane są zwykle jako dekady mroczne, swoista „przerwa w życiorysie" narodu. Jednak narzucony nam ustrój na co dzień nie zawsze był okropny. Przynajmniej każdy, kto tego chciał, miał pracę pozwalającą lepiej czy gorzej przetrwać do kolejnej wypłaty. Szkolnictwo i opieka zdrowotna były gwarantowane każdemu, abstrahując od ich poziomu, który zresztą nie zawsze był taki zły… Społeczeństwo po pewnym czasie przystosowało się i nauczyło po cichu współpracować, zauważywszy wiele luk sztucznego ustroju, których władza nie była po prostu w stanie załatać ani kontrolować. Tym bardziej że sama z nich korzystała.

To, co należało do tzw. towarów deficytowych, ludzie załatwiali „na lewo" – przez znajomości, łapówki oraz odwdzięczając się sobie na przeróżne sposoby. Tak z reguły zdobywało się mięso czy cement, ale też lepsze stanowisko w pracy bądź miejsce na studiach dla dziecka, na obleganym

kierunku. Oczywiście wielu ludzi z natury przedsiębiorczych, obdarzonych naturalnym urokiem albo inteligencją wcale nie musiało uciekać się do „lewych" sposobów na przetrwanie. Mieli cechy pozwalające im wybić się ponad przeciętność w każdych warunkach i w dowolnym ustroju. Byle nie byli „wrogim elementem", a przynajmniej nie demonstrowali tego otwarcie.

Doskonale radzili sobie także wszelkiej maści sprytni kanciarze, umiejący wynaleźć dla siebie intratną niszę. Płeć nie miała tu znaczenia, wszak powszechnie wiadomo, że kobiety nie ustępują zdolnościami mężczyznom. A często przewyższają ich w tym względzie.

Jednemu z takich właśnie ludzi, obdarzonych przez naturę inklinacjami do udanego działania w szarej strefie, początkowo nic nie zapowiadało szczególnej kariery. Trochę z przypadku, a trochę szukając pomysłu na ciekawe życie wśród powszechnej szarówki, ukończył najpierw Liceum Techniki Teatralnej, po czym warszawską Akademię Sztuk Pięknych na kierunku konserwacji dzieł sztuki. Bez problemu znalazł zatrudnienie w uznanej pracowni konserwatorskiej, nie mając jeszcze pojęcia, jak ogromnie przyda mu się w przyszłości wykształcenie teatralno-artystyczne. Zdolności aktorskie wydawać by się mogły zbędne specjaliście od oceniania autentyczności i renowacji dział sztuki, chyba że… Ale nie wybiegajmy zanadto w przyszłość*.

* Pewne sceny opisane w tym rozdziale są prawdziwe, zmienione zostały jedynie personalia postaci. Relację zawdzięczamy uprzejmości przyjaciela, który brał czynny udział w opisywanych wydarzeniach, jednak z oczywistych względów nie możemy zdradzić jego nazwiska.

Któregoś dnia do naszego konserwatora zgłosił się pewien młody człowiek. Bezpośrednio do niego, co było raczej nietypowe. Miał ze sobą sporej, choć nie wyjątkowej wartości obrazek, jak twierdził, pamiątkę rodzinną, którą pragnął odnowić. Bardzo go ciekawiła sama praca konserwatora, toteż w trakcie wykonywania czynności renowatorskich niemal codziennie bywał gościem pracowni. Przystojny młodzieniec o pogodnym uśmiechu, odziany w ubrania wyglądające na zagraniczne, sprawiał wrażenie syna jakiegoś nadzianego prominenta. W niewymuszony sposób wzbudzał sympatię. Niezwykle zadowolony z efektów pracy konserwatora, na koniec zaprosił go do restauracji na kawę. Pojechali czerwonym kabrioletem, który aż kłuł w oczy na szarych warszawskich ulicach. Pasażer uznał, iż kierowca musi pochodzić z naprawdę znaczącej rodziny, skoro obce są mu troski związane ze wścibskim okiem wszelakich służb…

Zamówił radziecki Ararat z czterema gwiazdkami, czyli najlepszy koniak dostępny w lokalu. Konserwator, niezbyt obyty z gatunkowymi trunkami, starał się uważnie naśladować gesty swojego towarzysza – w identyczny sposób podgrzewał dłonią kieliszek i kołysał zawartością, aby wydobyć bukiet. W końcu stuknęli się lekko szkłem.

– Proponuję przejść na ty – oświadczył młodzieniec. – Na imię mam… Borzymir. Nie przepadam za nim, przyjaciele mówią mi Zymek.

Konserwator zrewanżował się podaniem swojego imienia, choć jego rozmówca znał je już wcześniej. Zrobił to raczej po to, by stało się zadość obowiązującej towarzysko formalności. Mimowolnie naszła go myśl, że prominentni w obecnym ustroju rodzice raczej nie nadaliby synowi tak

oryginalnego imienia… Ale może pochodzili z dawnej szlachty, która dzięki ocalonej jakimś cudem fortunie mogła sobie obecnie na wiele pozwolić…? Nie dociekał tego, nie chcąc zostać posądzonym o nietakt, poza tym odpowiedź niekoniecznie musiałaby być prawdziwa. Nie jego sprawa. W przeciwieństwie do propozycji, jaką usłyszał na koniec spotkania. Ta z pewnością była już JEGO sprawą.

– Gdyby doszły do ciebie pogłoski o jakimś ciekawym obrazie do sprzedania, daj znać. Nie chciałbym cię urazić, ale wiesz przecież, że potrafię się odwdzięczyć…

– Jasne, nie ma sprawy – odparł konserwator. Wszak do niczego go to nie zobowiązywało.

– Ciekaw jestem, czy umiałbyś odróżnić fałszywkę od oryginału… – ciągnął młody człowiek z wyraźnym zainteresowaniem w oczach.

– Zymek, toż to moja pasja! – szczerze zaśmiał się zapytany. – Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale podczas studiów to właśnie najbardziej mnie fascynowało. Nawet kilka razy z powodzeniem wykorzystałem tę umiejętność…

– Kapitalnie. – Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz rozmówcy. – Na czym cała sztuka właściwie polega? – uniósł brwi. Dalej uśmiechał się, lecz jego oczy spoglądały na rozmówcę badawczo. – Bo wyobrażam sobie, że trzeba doskonale znać tysiące uznanych dzieł malarskich. To wymaga fotograficznej pamięci, prawda? Doświadczony krytyk sztuki zapewne na pierwszy rzut oka rozpozna oszustwo?

– Nie zaszkodziłoby oczywiście mieć w pamięci wszelkie znane obrazy, jednak mylisz się… Przy rozpoznawaniu falsyfikatów najważniejsze są inne wskazówki. – Konserwator odnosił nieodparte wrażenie, iż nowy przyjaciel pragnie

sprawdzić jego fachowość. Nie miał nic przeciwko temu. – Krytyk koncentruje się głównie na aspektach artystycznych dzieła, toteż może dać się nabrać, gdy pokaże się mu naprawdę dobry falsyfikat. Tu trzeba spojrzeć okiem konserwatora, czyli w zasadzie rzemieślnika. Istotna jest faktura płótna, użyty blejtram, krakelura, czyli charakterystyczna siatka spękań uwidaczniająca się na zamalowanej powierzchni. Powstaje z upływem czasu i niełatwo podrobić ją tak, aby także przez lupę wyglądała autentycznie. Nawet samo płótno daje istotne wskazówki, jeśli zna się krosna, na których je utkano w czasach odpowiadających dacie powstania dzieła. – Konserwator upił łyczek koniaku, po czym dodał z nieskrywaną dumą: – Dzięki pewnemu doświadczonemu wykładowcy umiem również posłużyć się „metodą igły". Jest stara i rzadziej praktykowana, ponieważ wymaga szczególnego wyczucia. Polega na sprawdzeniu, jak głęboko igła wchodzi w płótno. Tym samym określa się twardość farby oraz inne trudne do zdefiniowania, subtelne parametry, będące właśnie kwestią wyczucia.

– Czyli… – Zymek zakołysał płynem w kieliszku – liczy się nie tylko wiedza, ale i wrodzony talent?

– Można to tak ująć – przyznał skromnie konserwator.

Młody człowiek przywołał kelnerkę, poprosił o rachunek i, ledwie na niego zerknąwszy, uiścił kwotę, nie zapominając o napiwku. Żegnając się, trochę dłużej przytrzymał dłoń swego towarzysza, jakby pragnął dać mu tym gestem subtelny sygnał.

– Słuchaj, odezwę się wkrótce. Słyszałem o paru ciekawych obrazach, nieskatalogowanych, bo to nieznane dotąd dzieła jednego z naszych mistrzów. Warto by rzucić na nie okiem.

Konserwator skinął tylko głową, lecz z nieznaną mu dotąd ekscytacją pomyślał, że oto trafiła mu się wyjątkowa okazja, wręcz życiowa szansa, obok jakiej nie wolno mu przejść obojętnie. Toż takie odkrycie przyniosłoby mu sławę i pieniądze! Choć, zważywszy na tajemnicze zachowanie Zymka, może jedynie to drugie? Coś mu szeptało, że nowy przyjaciel nie zamierza odnalezionych eksponatów oddawać do muzeum…

W każdym razie czekał niecierpliwie na powtórne spotkanie. Spodziewał się go lada dzień i nie przeliczył się. Zymek faktycznie nie rzucał słów na wiatr. Tym mocniej konserwatorowi zależało, by okazja okazała się celnym strzałem. Czyli bardzo konkretną i nie mniej pociągającą go opcją na przyszłość…

Wieczorem otworzyli dach w ognistym kabriolecie i udali się w stronę Radomia. Zymek umówił się tam z pewnym księdzem w jakiejś maleńkiej parafii. Młody szczupły duchowny zachowywał się dość nerwowo, rozbieganym wzrokiem omijał swych gości. Początkowo unikał tematu spotkania, zwlekał, narzekał na jakieś inne zajęcia, z pewnością wyimaginowane, wszak przyjechali w środku nocy. W końcu jednak chyba nabrał do nich zaufania, gdyż wsiadł do ich samochodu i razem pojechali do mieszkania „kuzynki". Otworzył własnym kluczem i puścił gości przodem. Konserwator zamrugał ze zdumienia, ujrzał bowiem na ścianach obrazy Fałata. Na tym nie koniec! Mieszkanie było mocno zagracone, choć to akurat określenie średnio pasowało, gdy wziąć pod uwagę wartość znajdujących się w nim rzeczy. A było tam wszystko: rzeźby, patery, srebra…

Dziwny ksiądz konsekwentnie odmawiał zbycia jakiegokolwiek przedmiotu, jednocześnie napomykając, iż może miałby coś innego, niedaleko stąd… Stało się jasne, że ściągnął ich tu jedynie dla rozpalenia ciekawości i udowodnienia, że nie wciska tandety. Konserwator mimowolnie wyobraził sobie duchownego chodzącego po kolędzie z oczami jak na sprężynkach, uważnie rozglądającego się za precjozami… wartymi grzechu. Kto wie, być może swe właściwe powołanie odnalazł dopiero po ukończeniu seminarium…

Po krótkiej przejażdżce wjechali w boczną drogę pozbawioną latarń. Nawierzchnia była kiepska, czuli to pod kołami. Niewiele też widzieli mimo włączonych świateł, które wymacywały w mroku niskie zabudowania, by nie rzec rudery, sterty śmieci między nimi i wybujałe zarośla. W którymś momencie ksiądz zażądał, aby stanęli, oświadczając, że dalej pójdzie sam. Wrócił po kilkunastu minutach z małym przedmiotem owiniętym gazetami.

– Moi… przyjaciele obawiają się nieznanych gości. – Skinął, żeby wysiedli, po czym wręczył im pakunek. Wymienił też kwotę, horrendalnie wysoką. – Obejrzyjcie i decydujcie natychmiast. Mam wrócić z pieniędzmi albo obrazem nie później niż za dziesięć minut.

Nie sprecyzował, co mogłoby się stać, gdyby nie wrócił, a oni woleli nie dopytywać.

Konserwator ostrożnie wziął obraz do ręki. Choć światło samochodowych reflektorów nie było najjaśniejsze, od razu rozpoznał pędzel rzadkiego na rynku polskiego impresjonisty. Niedocenianego za życia. Podpis wyglądał dobrze, deska, faktura i farba wydawały się bez zarzutu. Wszystko to konserwator przekazał Zymkowi szeptem, przekonany, że jego

towarzysz i tak nie posiada przy sobie odpowiedniej ilości gotówki.

Ten jednak poufale klepnął duchownego w ramię na znak, że dobili targu. Nawet nie usiłował zbić ceny, po prostu na minutę zniknął we wnętrzu kabrioletu, po czym pojawił się ponownie, by wręczyć księdzu gruby plik banknotów. Zanim zapakowali obraz do bagażnika i zajęli miejsca w wozie, czarna sutanna rozpłynęła się w mroku.

Podczas drogi powrotnej pasażer czuł się jak po kilku kieliszkach szampana. Właśnie doświadczył prawdziwego dreszczu emocji. Wykazał się opanowaniem i godną podziwu kompetencją, a co najważniejsze, zdobył zaufanie kogoś o naprawdę wielkich możliwościach… Co najmniej jedną nogą wkroczył do świata nieoficjalnego obrotu dziełami sztuki, do którego wstęp mają naprawdę nieliczni.

Mijały minuty, a krew nie przestawała buzować. Myślami wrócił do dziwnego pośrednika, z którym właśnie ubili interes. Czy naprawdę był duchownym? A może jednak po prostu wysokiej klasy oszustem? Dla kogoś z bystrym umysłem i odrobiną aktorskiego talentu zdobycie sutanny to bułka z masłem, podobnie jak zaaranżowanie spotkania na plebanii. Duchowny uniform zapewnia swoistą anonimowość, on sam chyba nie rozpoznałby tego „księdza", gdyby zobaczył go na ulicy w normalnym ubraniu… Cóż… zapewne nigdy nie dowie się, jak było naprawdę.

Po dwóch godzinach Zymek zostawił konserwatora bogatszego o przyzwoitą prowizję niedaleko jego warszawskiego mieszkania, sam zaś odjechał z obrazem, który na zagranicznej aukcji mógł osiągnąć zawrotną cenę lub stać się częścią prywatnej galerii jakiegoś kolekcjonera dzieł sztuki.

Kilka dni później konserwator został przez kierownika pracowni zawołany do telefonu. Ucieszył się, gdy rozpoznał dobiegający ze słuchawki głos Zymka.

– Cześć, co słychać? – zapytał podekscytowany, spodziewając się kolejnego zlecenia. Oczywiście nie mniej intratnego.

– Dowiedziałem się swoimi kanałami, że oryginał wisi w pewnym wiedeńskim muzeum… – padło w odpowiedzi. W głosie młodzieńca nie było nawet cienia pretensji, raczej głębokie rozczarowanie. Zymek rozłączył się, nie dodając ani jednego słowa.

Konserwator poczuł się tak, jakby w jednej chwili ziemia osunęła mu się spod stóp. Skrewił na całej linii! Jasne, pewnym wytłumaczeniem mogły być trudne warunki, w jakich przyszło mu rozpoznawać ewentualny falsyfikat. Noc, żółtawe światło samochodowych reflektorów, pośpiech i brak możliwości zastosowania którejkolwiek z jego wyrafinowanych metod. Tym niemniej czuł się winny i głęboko zawiedziony.

A może Zymek był po prostu paranoicznie ostrożny? Kto wie, może w istocie transakcja przyniosła mu krociowy zysk, a on sam miał zwyczaj przerywać łańcuch pośredników mogących doprowadzić do jego osoby? Inaczej któryś z nich w końcu by się wygadał… Jak by nie było, konserwator dostał lekcję, której miał nigdy nie zapomnieć. I zapragnął zyskać pewność.

Następnego dnia wypadała niedziela. Pożyczył od znajomego samochód i udał się w okolice Radomia. Specjalnie wybrał wieczorną porę, obawiał się, że dzienne światło zmieni zapamiętane widoki i zatrze charakterystyczne szczegóły,

jakie dostrzegł uprzednio w świetle reflektorów. Najpierw zajechał pod plebanię, jednak nie starał się odszukać księdza. Nawet jeśli nim był, to i tak wyparłby się wszystkiego, a on sam niepotrzebnie zwróciłby na siebie uwagę. Zamiast tego postarał się odtworzyć trasę, jaką jechali wówczas do „kuzynki" mężczyzny w sutannie.

Dwukrotnie pobłądził, jednak za trzecim razem trafił do celu, jak się okazało niezbyt oddalonego od plebanii. Teraz zamierzał przypomnieć sobie drogę wiodącą do kryjówki fałszerza, który stworzył tak doskonały falsyfikat. Wprawdzie tamtej nocy zajechali jedynie w pobliże jego siedziby, ale liczył, że jakoś uda mu się ją odszukać. Chciał przynajmniej spróbować, gdyż żywił pewną nadzieję na kontynuowanie „współpracy"…

Zanim tam jednak pojechał, podszedł do drzwi wejściowych starej kamienicy „kuzynki". Patrząc z zewnątrz na wielorodzinny zaniedbany budynek, spodziewał się, iż nie inaczej będzie w środku. Lokatorzy najpewniej nie należeli do tych dobrze sytuowanych. Co więcej, wciąż nie miał stuprocentowej pewności, czy trafił we właściwe miejsce, toteż wolał się upewnić. Bez specjalnej nadziei nacisnął klamkę u wejścia, przekonany, że powinno być zamknięte na klucz. Cóż, najwyżej zaczeka, aż ktoś będzie wychodził lub wchodził, zorientuje się, z kim ma do czynienia, i sprzeda mu jakąś ułożoną naprędce bajeczkę. Może nawet wystarczy parę groszy na piwo?

Ku jego zdziwieniu klamka poddała się z lekkim zgrzytem nienaoliwionego mechanizmu i mógł wejść do środka. Schodami skierował się na piętro, powoli, gdyż na klatce było ciemno, a drewniane stopnie upiornie skrzypiały. Dobrze

pamiętał ów odgłos. W mdłym świetle żarówki u sufitu, która zaświeciła się po odszukaniu przycisku na ścianie, rozpoznał też wejście do mieszkania „kuzynki". To by było na tyle. Już miał zawrócić, gdy dostrzegł, iż drzwi są odrobinę uchylone…

Szpara była minimalna, a jednak wyraźna dla kogoś, kto wiedział, że powinien zwrócić na nią uwagę. Przez chwilę konserwator wahał się, czy zapukać, czy jednak odejść i realizować pierwotny plan. Ostrożność skłaniała go ku drugiemu rozwiązaniu, dlatego tylko leciutko pchnął palcem drzwi, które wszak mogły być jednak zamknięte, a jedynie wypaczone. Jakież było jego zdumienie, gdy dobrze naoliwione zawiasy nawet nie skrzypnęły, a na podłodze ukazała się prostokątna plama światła pochodząca z wnętrza mieszkania. Słysząc jakieś szelesty, zajrzał do środka. Z przedpokoju widać było jedynie niewielki fragment zagraconego salonu, pech chciał jednak, że przebywający w mieszkaniu młody człowiek akurat stał przed kryształowym zwierciadłem w złoconych ramach i w lustrzanym odbiciu natychmiast dostrzegł uchylające się wejściowe drzwi.

– Ach, kogóż ja widzę? Naprawdę nie spodziewałem się…

– Zymek, ja tylko…

– Co tylko? – Młodzieniec przyglądał mu się niby z rozbawieniem, lecz także badawczo. – Jest ktoś z tobą?

– Nie.

– Właź i zamknij drzwi. Zostaw zasuwę w spokoju – zerknął na zegarek. – Wystarczy na klamkę, bo lada chwila spodziewamy się gości.

– Skąd wziąłeś klucz? – zagadnął konserwator, na co Zymek parsknął tłumionym śmiechem. – No i o jakich gościach

CZY PEWIEN RĘKOPIS Z POCZĄTKU UBIEGŁEGO WIEKU NAPRAWDĘ ISTNIEJE?

Bardzo znany pisarz polski, żyjący i tworzący na przełomie XX wieku, od 1888 r. często gości w Nałęczowie, pomieszkując w pewnej willi. W tajemnicy pracuje nad powieścią, stanowiącą ukoronowanie jego dorobku literackiego. Przed wyborem wydawcy pisarz umiera, a decyzja o tym, komu powierzyć publikację dzieła, pozostaje w rękach spadkobierczyni. Jej długotrwałe rozterki, sprawy prywatne, a także przetaczająca się burza dziejów, powodują, iż o istnieniu niewydanego dzieła wybitnego pisarza nie wie prawie nikt. Jednak „prawie" nie oznacza, że w ogóle nikt. Jest bowiem ktoś, kto coś domniemywa... Szkopuł wszakże w tym, że tylko spadkobierczyni znała miejsce ukrycia rękopisu.

Odnalezienie i doprowadzenie do wydania ostatniego utworu wybitnego pisarza stałoby się prawdziwą sensacją. Ten, kto by to uczynił, osiągnąłby rozgłos i niebłahe korzyści materialne.

W dość tajemniczy sposób informacja o zaginionym rękopisie trafia w ręce byłego dziennikarza śledczego, a ten traktuje to jako sposób na wyrwanie się z marazmu, który ogarnął go po niedawnych wstrząsających przeżyciach. Jedzie do Nałęczowa, do willi prowadzonej przez bratanicę asystentki pisarza. Zaprzyjaźnia się z nią, a ona prosi o pomoc w odszukaniu zaginionego dzieła i jego prawnych właścicieli.

Zadanie okazuje się karkołomnie trudne i obfitujące w wiele zwrotów akcji...

FILIA

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8280-825-4

9 788382 808254

Klub książki
ONA CZYTA
Facebook.com/ONACZYTA

FILIOTEKA.PL